

ANDRZEJ MULARCZYK



JESZCZE
SŁYCHAĆ
ŚPIEW
I RZENIE KONI

ANDRZEJ MULARCZYK

JESZCZE
SŁYCHAĆ
ŚPIEW
I RZENIE KONI

Andrzej Mularczyk

Jeszcze słychać śpiew i rżenie koni

Saga

Jeszcze słyszeć śpiew i rżenie koni

Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright © 1971, 2021 Andrzej Mularczyk i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726878639

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą
Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com
SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

Od autora

Scenariusz filmowy ożywa w obrazie dwukrotnie: po raz pierwszy w wyobraźni autora, drugi raz — na ekranie. Te projekcje nigdy nie są identyczne. Na pierwszym etapie wyobraźnia musi pozwolić zastygnąć w słowach działaniom bohaterów; druga faza — realizacja filmu — to proces uwalniania się od zapisanych słów, powrót do ruchu, obrazu, słowa żywego.

Scenariusz już w zamierzeniu autorskim jest więc brulionem utworu, którego ostateczny kształt zanotowany zostaje na światłoczułej taśmie. Ale w czasach, gdy powieści świadomie pisane są jak bruliony — zapis opowieści filmowej staje się równouprawnioną lekturą. Przedstawia ona inną rzeczywistość niż ta, którą zamknął w obrazie reżyser, mający do dyspozycji aktorów, określone miejsca, konkretne rekwizyty. Daje to szansę, by scenariusz ożył po raz trzeci — w wyobraźni czytelnika.

Zebrane w tym tomie scenariusze i opowieści filmowe łączy wspólny motyw: sprawa wojny, której cień idzie za nami do dziś. Jest ona wciąż nie dokończoną sprawą życia zarówno dawnych żołnierzy, którzy wyruszyli na tę wojnę we wrześniu 1939, jaki i ludzi dziś dorosłych, lecz urodzonych w czasie wojny. Julia-Anna-Genowefa szuka śladów swej przeszłości, by umieć wrócić do teraźniejszości; młody reporter, realizując nie dokończony wątek losu swego ojca, żołnierza Września — dziś wyrusza jakby na swoją wojnę, by w efekcie tej lekcji głębiej zrozumieć sens czasu, w którym wszyscy żyjemy. Bo rozrachunek z wojną — to także odnalezienie sensu swej

postawy w dniu dzisiejszym, w którym wciąż „jeszcze
słyszeć śpiew i rżenie koni”.

Julia, Anna, Genowefa...

Dzień jest gorący, lepki tłum płynie w samo południe Piotrkowską. Nagle prąd przechodniów zwalnia, przybija do przystani z desek, wzniesionej nad poziom chodnika niczym estrada. Parada manekinów, stukają obcasiki, z głośnika padają ceny, usztywnione modelki przemierzają ustaloną ilość kroków.

Anna, mrużąc oczy pod słońce, obserwuje ten uliczny pokaz mody. Gdyby nie to, że ma w kieszeni czterysta złotych, które Jurek wręczył jej na prezent imieninowy — nie znalazłaby w sobie dość siły, żeby sterczeć w tym upale.

Długo gonił ją z megafonów sztucznie rześki głos zapowiadacza. Kupiła lody, wzruszyła ramionami na wyrażnie zachęcające „oczko” kierowcy sportowego porsche’a na zagranicznych numerach, który parkował przy Grand Hotelu. Zatrzymuje się przy bramie, w której cieniu nie ogolony mężczyzna, ubrany w przydługą ciemną jesionkę, jakby trafił tu prosto z lutego czy stycznia, cichym pogwizdywaniem chce zwrócić uwagę na dwa psie łebki, sterczące mu zza pazuchy. Kokieterijne, czerwone kokardki, dyszące pyszczki z wywalonymi języczkami, czarne ślepka pod białą grzywką.

— Chcą pić? — Anna gładzi psiaki.

— Nade mną to się pani nie lituje? — chrypi Jesionka, samą barwą głosu dając do zrozumienia, jakie pragnienie go gnębi. Anna uśmiecha się.

— Im zwykła woda wystarczy.

— Pewnie, bo nie ludzie. — Jesionka kusząco odsłania poję, podsuwa psiaki. — Gdzie pani znajdzie za pięć dych

towarzysza życia wykąpanego, wiernego i z kokardką?

Anna wyciąga z torebki sto złotych. Mężczyzna pospiesznie wciska jej oba szczeniaki.

— Chcę jednego — mówi niepewnie Anna. — I reszty.

— Lecę zmienić. — Jesionka wskazuje sklep po drugiej stronie. — Może je pani trzymać na jednym ręku, oba samce...

Anna czeka w cieniu bramy, przyciskając psiaki. Ludzie przystają, pytając o cenę. Mężczyzna w jesionce nie wraca. Nie ma go też w sklepie, do którego poszedł zmienić setkę.

Anna niesie obydwu psiaki, ich głowy kiwają się sennie w rytm jej kroków. Idzie łatanymi cieniem uliczkami parku. Z daleka dobiega pykanie piłek tenisowych.

Pod bramą kortów kilka samochodów. Anna obchodzi dom klubowy, idzie teraz tarasem między rozłożonymi leżakami. Widzi grającego na najbliższym korcie brzuchatego, siwego mężczyznę. Dziwisch stoi na linii prawie nieruchomo, odbijając piłki partnerki jak ściana. Cały jest jedną wielką obojętnością. Jego uderzenie jest pewne, lecz pozbawione miękkości rasowych tenisistów. Widać, że wyuczył się tego przez lata obcowania z rakietą, by teraz nieomal każde odbicie piłki przeliczać na złotówki. Trenowana przez niego aktorka Sieniawska jakby tańczyła z rakietą po drugiej stronie siatki.

— Z wykretem! I ciągnąć do dołu — instruuje monotonna Dziwisch. — A teraz ciach z backhandu!

Ale Sieniawska nie odbiera tej piłki. Patrzy na psiaki niesione przez Annę, którą Dziwisch pozdrawia z daleka szerokim uśmiechem. Pod kontrolą leżakujących bywalców Anna wchodzi do domku klubowego: zagracony pokój, na szafie puszki po piłkach firmy „Dunlop“, na stole rakiety z porwanymi naciągami, na ścianie wiszą same ramy. Pod zasłoniętym firanką oknem adapter i wzmacniacz. Irma w samej spódnicy i staniku zrywa się z tapczana.

— Skąd je wzięłaś? Okociłaś się?

Anna stawia psiaki na podłodze. Natychmiast pojawia się kałużka.

— Dostałam w prezencie.

— Ten twój Jerzyś to zdrowy wariat!

— Niestety, nie...

— Nie on? Masz kochasia? — Irma jest rozbawiona nieporadnymi spacerami psiaków. — Jak się nazywają?

— Do tej chwili ten się nazywa „pięć dych” i ten się nazywa „pięć dych”. — Anna trzonkiem rakiety bez naciągu wskazuje kolejno szczeniaki. — Ale teraz trzeba je ochrzcić. — Anna przykłęka obok Irmy. — Ten będzie „Mójtyś”, a ten... „Twójtyś”.

— A ty „Głuptyś”! Po co ja to dla ciebie odkładałam? — Podchodzi do szafy, wyciąga zagraniczną bluzkę, przykładając do piersi Anny. Twarz Irmy — pulchna, prosięco-optimistyczna, o wyraźnych „dołeczkach śmiechu” — szczerze wyraża teraz szczytowy zachwyt: — Cudna! Szłaś ciał!! Przymierzaj!

— Nie warto. — Anna wymownie patrzy na psiaki, w których utopiła część kapitału. Ale Irma jest przytomna:

— Ile ci Jurek dał na imieniny?

— Czterysta!

Irma nagle zmienia wyraz twarzy, udaje, że przyczesuje dłonią nie istniejący przedziałek, podciąga nie istniejący krawat pod szyję, teraz cedzi wolno słowa: „Aniu, w związku z dniem imienin nabądź sobie szczęście w MHD za cztery stówy...”

Anna śmieje się szczerze z tej parodii swego męża; Irma tworząc karykaturę trafia w ton prawdy. To samo, gdy zmieniając wyraz twarzy i frazę zdań, przedstawia teraz matkę Anny. Wydaje z siebie głębokie westchnienie, naśladując Karolakową: „Nuśka, jaka ty jesteś szczęśliwa! Ja w twoim wieku...” — znów westchnienie, gest głowy —

„Okupacja-konspiracja, heil-Hitler, karbidówka i głodówka, śmoje-boje, w drewniakach do kościoła, a tobie się podeszwa zgina w te i we wte!”

Aż się zadyszała, wyrzucając to z siebie na jednym wydechu.

Niekompletnie ubraną, rubensowsko pełną, krząta się wokół Anny, organizując jej przymierzanie „szałowej” bluzki.

— Wolałabym dostać guzik czy kwiatki za 20 złotych, tylko niespodziankę — mówi Anna wynurzając głowę przez wąską gardziel modnego golfu. — Byle sam to dla mnie wybrał.

— Ty to zawsze chcesz inaczej, niż masz. Nie bądź taka poetka! Życie truje, ale nie rymuje. — Irma okręca Annę, popycha ją przed lustro. Anna poprawia wzburzone włosy. Przygląda się sobie jakby ze zdziwieniem. Jej twarz — nieregularną, ciepłą — jest jakby tylko oprawą dla wyrazistych oczu. Dużych. Ciemnych. Uważnych.

Bluzka jest w sam raz, ale Anna chce ją z siebie ściągnąć: nie ma już czterystu złotych...

— Może artystka weźmie trzysta i... psy? Ja to załatwię! — Irma gorączkowo zaczyna się ubierać, ale co chwila zerka przez okno, na widoczny stąd kort. — Ta Sieniawska to ma ciuchów! Wiesz, co powiedział ten redaktor? — Głową wskazuje siedzącego na leżaku mężczyznę. — Że aktorka musi mieć się z czego rozbierać — chichocze po swojemu, jak zwykle z byle czego. — Z niej warto brać przykład. Ona jest taka, że karierę robi! O, patrz, jak wali! Jeszcze mi starego wykończy. Ja ich zaraz przyhamuję. — Stojąc w jednym pantoflu, grzebie wśród stosu płyt na stoliku. — Ojcu lekarz zabronił się męczyć, serce, a on tylko o 5 złotych podniósł taryfę i tłucze od rana. Na nagrobek odkłada. Mówi, że urodził się na korcie i umrze na nim. Jak się mógł na korcie urodzić, kiedy na wsi w tenisa nie grali?

Nastawia płytę. Przez rozwieszone nad kortami głośniki płyną dźwięki marsza żałobnego Szopena. Grający zastygają w pół ruchu, głowy zwracają się ku głośnikom. Renata Sieniawska zaczyna się śmiać.

Irma, zadowolona z efektu, porywa szczeniaki pod pachę i wybiega z pokoju.

Psiaki toczą się niby tenisowe piłki po rudym korcie.

Kiedy Anna wychodzi przed domek klubowy — Irma, Dziwisz i Renata stoją pochyleni nad pieskami.

Szeleszczące spódnicami Cyganki wyciągają brudne ręce przez oczka siatki i ogrodzenia, przyzywają Annę:

„Panienka da rękę, a przyszłość szczęśliwą pozna...” Anna udaje, że nie zwraca uwagi, przyzywa głośno Irmę:

— Chodź, spóźnimy się do pracy.

Irma wraca, triumfując: bluzka należy do Anny, drugi pies — do Renaty.

Odchodząc z kortów, słyszą jeszcze krzyk Dziwisza, odpędzającego Cyganki od siatki.

— Nabieraczki! Znają tylko szczęśliwą przyszłość... Słyszałaś o tej ślepej Hance na Bałutach? Ona zna życie każdego jednego! Pokażesz jej zdjęcie chłopaka, może być z chrztu, popatrzy i z mety powie, że skończy go woda!

— Czy to nie straszne? — mówi Anna, zaglądając w psi pyszczek, wystający spod pachy.

— Pewnie — przytakuje Irma. — Ja właśnie się boję.

— To ona powinna się bać!

Irma nie łapie sensu słów przyjaciółki.

— Nie chcesz dowiedzieć się przyszłości? — pyta ze zdziwieniem.

— To iść drugi raz na ten sam film — mówi Anna z namysłem, patrząc gdzieś wysoko, na gęste korony drzew parku.

— A na miłosne nie chodzisz po dwa razy?

Anna nie odpowiada. Wciąż zapałtrzona, powoli jakby wracała do tego miejsca i godziny.

— Widziałaś człowieko-rybę, która z mieczem pływa w powietrzu?

Irma idzie wzrokiem w ślad za spojrzeniem Anny, skierowanym w głąb alei parku. Wśród korony ogromnego drzewa płynie ze wzniesionymi ku górze rękoma prześwietlona słońcem ludzka postać.

— W cuda wierzysz? — Irma, mimo oporu Anny, ciągnie ją w bok, gdzie przez ogrodzenie widać w poprzecznej alei stojącą ciężarówkę z łamanym podnośnikiem. Grube ramię, zakończone „balkonikiem”, unosi „człowieko-rybę” ku koronom drzew. Jego ręka, uzbrojona jest w piłę ogrodniczą.

— Widzisz? — mówi zawsze przytomna Irma. — Wszystko trzeba zobaczyć z bliska.

W środku lata spływał z nieba śnieg: powoli opadały z wysokich okien przedzalni białe kłębuszki, osiadały na siatce ogrodzenia. Anna zdjęła jedną taką „śnieżynkę” z rzęs. Obie dziewczyny włączają się w strumień kobiet, zdążających na drugą zmianę. Wsypa je wąska brama Zakładów Włókienniczych. Od razu jakby wkroczyły w inną porę dnia i roku. Na podwórzu jest mroczno. Wysokie, ponure budynki, dygocąc szumem krosien, odcinają podwórze od słońca. Niesiony przez Annę psiak próbuje złapać kosmyk jej kasztanowych włosów. Dziewczyna wnosi go do budynku. We wnętrzu powielarni, gdzie Anna pracuje, puszcza go na podłogę.

Choć powielarnia mieści się w nowym skrzydle fabryki — jest jakby skrzyżowaniem ciemni fotograficznej z lamusem.

Anna, stojąc przy aparacie-kopiarce, odbijającym na fioletowo plany maszyn włókienniczych, widzi przez okno kompleks starej fabryki.

— Skąd go masz? — pyta sympatyczny łysol, zabawiając psa rzucaniem papierowych kulek.

— Prezent na imieniny.

— Od kogo?

— Od swojego chłopaka.

— To ty zdradzasz męża? — radośnie dziwi się łysy.

— Na razie nikogo — odpowiada spokojnie Anna, przyzwyczajona do tych dialogów, których efektem była zazwyczaj oferta pocieszenia.

— Marzycielka! Mąż to już nie chłopak. — Łysol zrywa się z klęczek, słysząc kroki milknące przed drzwiami.

— Czy tak musi być? — Anna mówi to tak, jakby rzeczywiście zależało jej na prawdzie, a nie na żonglerce słowami. Nie dostaje odpowiedzi. W drzwiach pojawia się Irma w białym fartuchu, skinieniem wyciąga ją na korytarz. Nic nie mówi, tylko wskazuje głową kobietę, stojącą przy oknie korytarza: długi, zbyt obszerny prochowiec, torba podróżna z urwanym zamkiem, ślady zmęczenia długą podróżą, twarz skupiona, napięta; patrzy na Annę, jakby miała od niej usłyszeć coś niezwykle ważnego. Anna widzi jej rękę, ona żyje, mówi do niej, choć kobieta nie odrywa jej od szyi, poprawiając nerwowo broszkę.

— Do ciebie. — Irma popycha ją lekko w stronę kobiety.

— Kto to? — półszepem pyta Anna. Irma wzrusza ramionami. Obserwuje, jak Anna podchodzi do tamtej. Irma nie wie, o co chodzi, ale czuje, że tu dzieje się coś dziwnego. Nie słyszy słów, a Anna — choć je słyszy — nie wie, jak je rozumieć.

— Niech pani na mnie popatrzy! — Kobieta chwyta obie ręce Anny w swoje. Dziewczyna chce cofnąć dłonie, czuje jakiś instynktowny opór przeciw temu, co ma się stać.

— O co chodzi?

— Niech pani mi pozwoli na siebie popatrzeć... Nic pani sobie nie przypomina? — Kobieta, nie spuszczaając wzroku z

Anny, ustawia teraz swoją twarz jak przed obiektywem aparatu. Czeką z nadzieją na odpowiedź, na jakiś gest, ale jakby bojąc się przedłużającej się ciszy, zaczyna gorączkowo grzebać w torebce.

Wyładowany belami materiału wózek nie może się precyzyjnie przesuwać. Anna wprowadza kobietę do fabrycznej hali: ogłuszający szum wirujących krosien, strzelanie czółenek maszyn tkackich. Kobieta wyciąga jakieś zdjęcie, wciska je Annie: w obramowaniu lisa ta sama twarz, cofnięta o wiele lat. Anna przenosi wzrok na nią. O co chodzi? Kobieta coś mówi, ale szum wentylatora zagłusza niektóre jej słowa, Anna łapie jakieś strzępy: ma się nie dziwić, że tamta tak późno do niej trafia, ale dopiero niedawno wyszła sprawa, że dzieci porwane w 1943 roku z Poznańskiego, po pobycie w Kinderheimie znalazły się w Domu Dziecka w Kolumnie...

— Po co mi pani opowiada o wojnie? — przerywa jej Anna, chcąc oddać starą fotografię, skończyć tę dziwną rozmowę.

— Bo wojna się dla mnie jeszcze nie skończyła. — Kobieta mówi to powoli, jak zdanie, którego nie można nie usłyszeć, nie można nie zrozumieć. Ale dla Anny nie jest to żaden argument. Szuka motywacji.

— Czy pani na coś zbiera?

— To ty nic nie wiesz?

— Ale o co chodzi?

— O to, czy jesteś moją córką.

Co pani?! Przecież ja mam matkę! — Anna prawie krzyczy. Chce gdzie indziej dokończyć rozmowę, ale kobieta bierze jej ruch za chęć odejścia, łapie ją kurczowo za rękę.

— Ale ja jestem tą prawdziwą!

— Czyją?

— Może... twoją?

Anna prowadzi ją wąskim przejściem między stanowiskami tkaczek w stronę oszklonego kantorka kierownika zmiany. Stoją tam teraz, odizolowane szybkami od szumu, ale przyciśnięte do siebie. Twarz w twarz. Teraz Anna wpatruje się z napięciem w twarz kobiety. Szum hali dochodzi tu jak deszcz zza okien.

— To jakaś pomyłka, ja mam matkę. — Anna mówi to dobitnie, ale jej oczy zdradzają lęk.

— Myślałam, że wiesz... Ty nie jesteś urodzona przez Karolakową...

Dopiero teraz do niej dotarło, że nieznajoma chce w niej znaleźć swoją córkę. Chce, aby Anna w niej odkryła swoją prawdziwą matkę! Jak przez mgłę dociera do niej relacja kobiety: w ostatnim tygodniu była w Domu Dziecka, potem w sądzie, ma trzy adresy, pod którymi może znaleźć córkę, ślad po niej choćby. Zabrano ją od niej jako dwuletnią blondyneczkę z brązowymi oczyma, z tym znakiem szczególnym...

— Jak pani córka miała na imię? — przerywa Anna.

— Helunia!

— Ja jestem Anna.

— W tej chwili...

— Zawsze!

— Skąd pani wie?

— Pamiętam.

— Przypomnij sobie wszystko, co pamiętasz, wszystko, co najdalsze jest w tobie. — Kobieta domaga się świadectwa jej pamięci, ale Anna czuje w sobie opór: po co ma próbować? Przecież nie może mieć z tym nic wspólnego!

— To, że pani kogoś szuka, nie musi mnie dotyczyć. Mnie nikogo nie brakuje.

— Skąd wiesz? Jeśli nie jesteś córką pani Karolakowej, to jesteś czyjąś inną córką. A wówczas nosisz inne imię, inne nazwisko. Urodziłaś się też gdzie indziej. Pamięta pani

majątek Kowary? Biała brama w alei topolowej, pasły się żrebaki, Helunia mówiła „ziebaki...” A, parowozownia w Ostrowie? Ojciec był kolejarzem...

— Ojciec?

— Mąż! Z Helunią na rękę chodziłam patrzeć na lokomotywy. Mąż robił na przetokach, ona machała rączką, zawsze tatę poznała, choć osmolony.

Anna kręci przecząco głową. Patrzy przez szyby na ruchome krosna, ale nie widzi nic. Nagłe pukanie w szybę przerywa rozmowę: uśmiechnięty inżynier pokazuje, że dla niego nie ma miejsca w kojcu.

— Tam mnie nie było — mówi zdławionym głosem Anna.

— Skąd pani wie?

— Bo widzę się gdzie indziej.

— Jak dziecko ma dwa latka... — Kobieta chce przełamać jej obojętność. — Może pamięta pani mundur ojca?! Trzymał go w wielkiej szafie w pokoju babci i Helunia zatrzęsnęła się w niej kiedyś. Wyciągnęłam ją prawie zaduszoną. Potem bała się ciemności. — Patrzy na nią nagłoco, Anna czuje prawie fizyczny nacisk tego spojrzenia. — Na tej szafie były rzeźbione takie winogrona. Przypomnij sobie! Musisz to sobie przypomnieć!

...Napływają jakieś kształty, zamazane, nieostre kontury mebli — szafy, kredensy, szuflady, klucze i klamki...

— Pamiętasz Boże Narodzenie na wsi, jak przyszli ci więźnie, co z transportu uciekli? Płakałaś wtenczas, a ja ci mówiłam: „Ty się nic nie bój, to dobrzy ludzie, oni tak samo boją się Niemców jak i my”...

...Coś błyszczącego obraca się, miga. To duża bomba choinkowa chwieje się na gałęzce. Drzewko jest wielkie, stoi na środku placu miejskiego, przed gmachem z wartownikami. Plac jest pusty, wymarły, w mroźnym powietrzu oddech zamienia się w obłoczek. Czy to oddech?...

— A dom? Przypomnij sobie nasz dom. Dwa pokoiki, za oknem tor, ojciec trzymał króliki. I tam w królikarni bron trzymał. Jak jego przyszli brać, to do królików nie zajrzeli...

...Jakaś duża przestrzeń. Stodoła? Nie, to pokój, ale z „perspektywy żaby” wydaje się wielki niczym hangar. Jaki długi ten kolorowy chodnik! Cała podróż, nim dojdzie się do drzwi. Są ciężkie, uchylają się z trudem. Za nimi znowu pokój, jakiś błysk: ruch wahadła szafkowego zegara? Dobiega do kolejnych drzwi — następny pokój w tej amfiladzie jest ciemny — jakby skok ze słońca w głęboką studnię! Tylko szpary okienne wpuszczają rażące oczy strzały słońca. Wahanie, decyzja, pchnięcie nowych drzwi, nagły napływ jasności. Na bujanym fotelu czyjeś nogi w butach z cholewami, ale kiedy chce się dojrzeć coś wyżej, więcej — obraz rozplywa się...

— Ty się lubiłaś przyglądać królikom, ale bałaś się okropnie krów. Jak słyszałaś gwizd pociągu, to klaskałaś w rączki...

...Nad leżącą w białym łóżeczku z ogipsowaną nóżką na wyciągu pochyła się tęga kobieta o czarnych, lśniących włosach... Jej oczy duże, wilgotne...

Anna patrzy w twarz kobiety. Są już na podwórzu fabryki. Widzi jej przeczący ruch głowy: Helusia nie miała nic z nóżką.

— Co pani? — Anna odruchowo cofa rękę, bo kobieta nagłym ruchem odsuwa rękaw jej fartucha, przygląda się zgięciu łokcia.

— To nie ty! Helunia wylała na siebie gorący krupnik, doktor Strachoń powiedział, że to ślad na całe życie.

— No widzi pani. — Anna mówi to z ulgą.

Kobieta patrzy jeszcze przez chwilę na Annę. Patrzy jakby z żalem. Anna próbuje się uśmiechnąć. Nie wychodzi.

Na tle ciemnych murów przedzalni wolno lecą z góry białe kłębuszki. Kobieta nie zwraca uwagi na to, że kilka

„śnieżynek“ osiadło jej na włosach. Kiedy Anna odruchowo chce je zdjąć, odwraca się ze łzami, odchodzi.

Jest już przy bramie i wtedy Anna rusza za nią z krzykiem: „Proszę pani! Proszę pani! Ale pani nie była u mnie w domu? Prawda?!“

Kobieta odwraca się, kiwa przecząco głową, a potem mówi spokojnie:

— Czego się pani boi? Przecież o n a wie wszystko.

Anna idzie ulicami jak we śnie. Wpada na przechodniów, wkracza na jezdnię przy czerwonym świetle. Ostry gwizdek milicjanta przywołuje ją do przytomności.

Powoli, jak ktoś chory, wchodzi na schody bloku w nowym osiedlu, otwiera drzwi mieszkania. Na framudze drzwi kuchennych wisi wbita na gwóźdź kartka z zeszytu: „Skończ prasowanie. Kup cukier. Nie zapomnij!“ Anna zrywa ją mechanicznie. Większy pokój zagracony jest stojącymi na kupie skrzyniami trzech telewizorów, kilku starych radioaparatów. Jeszcze jeden telewizor stoi na podłodze w obudowie z dykty, odsłaniając wszystkie panele i bebechy. Na wierzchu tego pudła leżą śrubokręty, kolba do lutowania, lampy...

Anna zachowuje się we własnym domu jak obca. Nie może znaleźć miejsca. Przechodzi z kuchni do pokoju, zagląda do pokoju Karolakowej. Kilkakrotnie zahacza o wielką strzałkę, wiszącą ostrzem na dół, pod którą stoi magnetofon — również „domowej roboty“. Staje przy oknie, patrzy na dzieci, kotłujące się w osiedlowej piaskownicy. Bierze do ręki dziwnie splątany biały korzeń, zaczyna przy nim dłubać krótkim nożykiem, ale wkrótce odkłada, znów objaja się po tym warsztato-mieszkaniu. Prowadzona przez strzałkę uruchamia magnetofon. Szpule szeleszczą, głos mężczyzny: „Halo, halo, informacja dla mamy: wysłałem trzy kupony »Kukułeczki«, niech mama więcej nie wypełnia.

Halo, informacja dla solenizantki: ja zostanę dłużej dziś w robocie, potem skoczę na boks z »Gwardią«, przyjdź pod halę po zmianie. Dziś sobota, w Klubie five“... Głos się urywa, krótka pauza i wybucha piosenka: „Dwudziestolatki, dwudziestolatki...”

Anna ostrożnie wślizguje się do pokoju matki. Pełno tu obrazków, fotografii, wazoników, sterta „Przekrojów”. Klęka przy tapczanie, wyrzuca na podłogę pościel, szpargały. Nerwowo, jak złodziej, wyciąga powiązane sznurkami pudełeczka po cukierkach, pełne listów i zdjęć, tasuje je jak karty: jedna twarz, druga, trzecia, ulice, morze, sylwetki, uśmiechy, pozy, miny. Jej ręce przerzucają czyjeś życie w obrazkach, szukając śladów własnego istnienia w przeszłości. Jest — sześćioletnie dziecko trzymane za rękę, patrzy w górę, w twarz Karolakowej. Na następnym Anna ma już 9 lat, szkolny tornister. Potem 13-letni podłotek przed Pałacem Kultury z wycieczką szkolną, potem już w sukni ślubnej, kwiaty, obok czarny garnitur, widać w głębi Karolakową, uśmiecha się ze wzruszeniem, patrzy nie na nią, lecz na Jurka, na Jerzysia, on jest dla niej ważniejszy niż Anna...

Dzwonek. Spłoszona wrzuca to wszystko do tapczanu. Wieko huknęło. Omal nie przycięła sobie ręki. Ssąc palec, niepewnie otwiera drzwi. Na klatce dwaj młodzi ludzie z teczkami.

— My ze spółdzielni — przedstawiają się wchodząc. — Przyszliśmy obmierzyć mieszkanie.

Starszy przykłada metr do ściany pokoiku Karolakowej, drugi sprawdza coś w papierach. Mierzący podnosi z podłogi zdjęcie Karolakowej.

— Podobna do pani. — Oddaje zdjęcie Annie, a w stronę kolegi rzuca: — 5,35.

— Nie zgadza się o całe 0,35 metra — stwierdza drugi, porównując wymiary z papierami.

Anna zamyślona idzie szybko ulicami Łodzi, ale kiedy zrównuje się z żelaznymi sztachetami — zwalnia nagle, traci cały rozpęd. Idzie wzdłuż muru, zerkając na sztachety tak, jakby chciała kogoś zobaczyć, sama nie będąc dostrzeżona. Widać dziwny ogród: na jego trawnikach w zachodzącym słońcu zakwitły rozłożone do suszenia prostokąty ręczników; ta szachownica wygląda jak nie roztopione wiosną spłachetki śniegu. Chorzy w długich szlafrokach snują się parami. Anna natrafia na oczy w nieruchomych twarzach: idą w ślad za nią, choć głowy są nieporuszone. To pod drzewami, w cieniu, ustawione są na „stołach pionizacyjnych” postacie zagipsowanych połamańców. Wyglądają jak współcześni ukrzyżowani. Jeden próbuje się uśmiechnąć do Anny. Dziewczyna speszona przyspiesza. Nagle staje.

Patrzy na popychającą wózek z pacjentem kobietę w fartuchu. Ta sama, co na fotografiach. Karolakowa ma ponad 50 lat, włosy noszą ślady trwałej ondulacji, na nogach ma płócienne trzewiki z wyciętą piętą, od białego fartucha odcina się jaskrawo umalowana kreska ust.

Anna jest napięta. Bada wzrokiem jej twarz, jakby ją z czymś porównywała.

Karolakowa rozmawia po drodze z chorymi, zaraz skręci w boczną alejkę, ale coś ją zmusza do odwrócenia głowy — może spojrzenia chorych — i widzi Annę. Jest zaskoczona, automatycznie patrzy na zegarek. Zostawia wózek, podchodzi do sztachet.

— Coś się stało z Jerzysiem? — pyta niespokojnie.
— Dlaczego akurat z nim? — Anna odpowiada pytaniem.
— Boś ty cała. Co, fabryka się spaliła?
— W powielarni konserwacja — kłamie Anna, nie spuszczając oczu z twarzy matki. — Wpadłam po drodze...

Chce odejść, ale zatrzymuje ją głos Karolakowej: „Nie zapomnij kupić cukru, bo znów będzie się piło gorzką herbatę...” Anna kiwa głową, odchodzi. Karolakowa jednak jest zaniepokojona czymś, idzie wzdłuż sztachet, podwyższona poziomem szpitalnego ogrodu.

— Aniu — mówi innym głosem — czy coś się stało?

Anna próbuje się uśmiechnąć.

— Aniu! Ja czuję, że coś z tobą jest...

Anna kiwa przecząco głową. Łapie spojrzenie trzech chłopców, przymocowanych w pozycji pionowej do dziwnych konstrukcji. Ten, który próbował się uśmiechnąć, woła w ślad za nią: „Niech pani nie odchodzi, niech pani z nami porozmawia o miłości”.

Anna odchodzi, goniona rechem trzech ukrzyżowanych.

Tego wieczoru krąży ulicami miasta jak przyjezdna.

Tu i ówdzie błyskają neony na tle jasnego, letniego wieczoru.

Stoi na rozległym pustym placu przed wielką halą. Dobiega z niej szum jak z ula. Nagle z trzaskiem rozwierają się bramy, wypływa tłum ludzi, kipiący jeszcze emocjami meczu bokserskiego. Demonstrują sobie „sierpy” i „haki”. Prąd zagarnia Annę, oddala ją od wejścia. Daremnie Anna próbuje dojrzeć Jurka...

— — — — —

Niedzielnny ranek.

Anna leży obok Jurka w łóżku, w pokoju pełnym pudeł telewizorów i radioaparatów. Jurek, przystojny blondynek z przedziałkiem, zajęty jest czytaniem tygodnika. W pewnej chwili przygląda się gestom rąk Anny: rozluźniona w przegubie dłoń zwisa zwinięta niby pęk, palce unoszą się ku górze w krótkich, urywanych etapach, aż rozkwitają jakby w pięciopłatkowy kwiat.

— Co to jest? — pyta Anna.

— Znowu zagadka? Powiedz najpierw, gdzie byłaś wczoraj do północy.

Anna powtarza poprzednie gesty:

— Na filmie przyrodniczym tak pokazują rozwój kwiatu.

Jurek demonstracyjnie obraca się plecami i wraca do lektury „Przekroju”.

— Wolisz kolor niebieski, czerwony czy czarny? — pyta studiując jakiś test w tygodniku.

— Wszystkie kiedy indziej — odpowiada Anna.

— Wobec tego nie jesteś ani optymistką, ani pesymistką. Teraz książki: a — grube, b — cienkie, c — ...

— Piękne — Anna uprzedza swoją odpowiedzią tekst ankiety.

— To nie na temat! — Zniecierpliwiony, zwraca jej uwagę. — Czy odwracasz się na ulicy za kobietami, w nawiasie za mężczyznami: a — często, b — nigdy, c — czasami... — Podnosi wzrok, czekając na odpowiedź.

— W nawiasie za kobietami.

— Przestań się wygłupiać!

O co ci chodzi? — Teraz Anna jest zniecierpliwiona jego dosłownością.

— Taki test pozwala poznać...

— Miałeś czas przed ślubem — stwierdza Anna, podnosząc się z pościeli.

Kiedy ubiera się w nową bluzkę z golfem, Jurek w kurtce od piżamy już majstruje coś przy jednym z telewizorów.

— Skąd to masz?

— Od ciebie — mówi Anna, robiąc porządki w pokoju.

Przewiesza obrazek, chce przesunąć regalik z książkami na inne miejsce.

— Nosi cię? Znowu przemeblowujesz?

— Lubię zmiany...

— Znów masz chandrę?

— Patrz, całe mieszkanie wydaje się nowe.

— Jeszcze się nie zdążyłem przyzwyczaić do starego.

Kiedy zabiera z jego narzędzi dłutko, by dłubać otwór w dziwnym korzeniu, odbiera jej narzędzie. Najchętniej wyrzuciłby ten korzeń do kubła, ale Anna upiera się, że zrobi z niego lampę.

— Są teraz piękne NRD-owskie — stwierdza Jurek. — Nowoczesne! — To słowo brzmi w jego ustach jak imię Boga.

— Ale z tym można rozmawiać. — Anna przygląda się poplątanym węzłom korzenia, układającym się w kształt niesamowitej twarzy. Przymierza do niego abażur ze stojącej lampki.

— Tak sobie wyobrażałam Kruczkogucichę — mówi do Karolakowej, która stanęła właśnie w drzwiach pokoju w chustce na włosach.

— Kogo? — dziwi się Karolakowa, nie kojarząc tej nazwy z korzeniem.

— Zapomniałaś? Przecież samą czytałaś mi bajki o niej...

— Aaa, bajki... Może. Nie pamiętam. — Kobieta przygląda się bluzce Anny. Podchodzi do zięcia, jakby chcąc go pogłodzić, ale poprawia mu tylko kołnierzyk. Anna nie pierwszy raz obserwuje takie gesty, świadczące o tym, że Karolakowa widzi w nim nie tylko męża córki, ale mężczyznę. Jedyne w domu.

— Nawet w niedzielę się babrzesz? — W jej głosie brzmi wyraźne współczucie.

Jurek jest konkretny.

— A z czego się zapłaci wycieczkę do Bułgarii?

— Nie cieszysz się z niej? — Karolakowa przygląda się Annie w nowej bluzce. Ale dziewczyna jest jakby nieobecna. Karolakowa zna takie jej zapatrzenia. Próbuje przytulić Annę do siebie — ta sztywnieje. Czując rękę matki na sobie, usuwa się spod jej zasięgu. Ale już za chwilę żałuje tego. Chciałaby okazać jej serce, przełamać w sobie opór, który

czuje od wczoraj. Więc zdobywa się na propozycję ułożenia matce fryzury.

— Co za święto? — dziwi się Karolakowa. — Nigdy się ciebie o to nie można doprosić. — Powoli ściąga z głowy chustkę, osłaniającą papiloty. Siada na krześle, Anna staje za nią z grzebieniem. Karolakowa widzi w lustrze twarz Anny. Inną jej twarz. Mówi półszepem, serdecznie: „Nuśka, dlaczego ty jesteś taka nie do życia?”

— To jej przejdzie — wtrąca Jurek. — Razem z młodością! Zaśmiał się, zadowolony ze swego powiedzonka, potem zapowiedział, że zabierze dziś. Annę na mecz ŁKS-u, to się dziewczyna wyreguluje.

— Ja wychodzę. Zaraz! — Anna wyjmując wałki z włosów Karolakowej.

— Gdzie cię niesie? — Jurek odwraca się od rozbabranego na części telewizora.

— Wiesz, dziś jest otwarta taka wystawa — mówi szybko, zmieszana. — „Tysiąc jeden najnowszych drobiazgów do gospodarstwa...” — Nadmiarem słów chce pokryć kłamstwo.

Jurek z uśmiechem popycha ją lekko. Anna siłą bezwładu opada na tapczan, Jurek sam ściąga jej pantofle, potem włącza trzy telewizory.

— Teraz wszystko jest z dostawą do domu!

Napływa głos spikera, mówiącego o „technice, która wyręcza człowieka i czyni jego życie łatwiejszym. Każde osiągnięcie techniki — to nowe minuty, ofiarowane człowiekowi...”

Jurek grzebie w trzewiach aparatu, odwróconego ekranem do lustra: trzy ekrany i czwarte odbicie w lustrze równocześnie przedstawia obraz wolno przesuwających się przedmiotów z wystawy: młynki, miksery, lampy, wiatraczki...

Anna patrzy — nie widząc. Karolakowa za to rozsiada się wygodniej:

— Czego to ludzie z głodu nie wymyślą — komentuje Jurek, nie przerywając lutowania. — Jest po co żyć! — dodaje, obserwując przenośny telewizorek wielkości książki.

— Ile to czasu trzeba by było, żeby to wszystko w domu obsłużyć — poważnie komentuje obraz Karolakowa.

Anna stoi już w drzwiach. Tam łapie ją spojrzenie męża, więc mówi szybko, że umówiła się z Irmą.

— To z nią brałaś ślub? Dziś niedziela! — zaczyna przekonywać Jurek. — Mam bilety na mecz! — Urywa, bo rozgrzana lutownicą cyna kapnęła na podłogę.

Irma czeka na Annę przed wielkim szklanym barem samoobsługowym: jest w kapeluszu, odświętnie ubrana.

— Masz adres? — pyta Anna.

Idą przez niedzielne ulice miasta, jedząc śliwki z papierowej torby. Wyglądają na beztroskie uczennice na wagarach.

— Jak mam łyknąć pigułkę, to mogę garbaty kubek herbaty wypić, a to świństwo dalej szasta mi się po języku. Nie daję rady łyknąć, a ojciec te węgierki z pestkami zasuwa!

— Eee? — powątpiewająco mruknęła Anna.

— Czereśnie to po trzy na raz! — upiera się Irma.

— Z pestkami?

— Z pestkami.

— Ale po co tak?

— A bo ja wiem? — Irma wzrusza ramionami — Chytry taki.

— A pytałaś go?

— „Sam się dziwię” — powiada — „Ale jem!” — Irma zaczyna się śmiać po swojemu. — I jak się tu ze starymi

dogadać? A potem dyskusje w gazetach, że ten... ten, no...

— Konflikt pokoleń — odpowiada Anna, wypluwając pestkę.

— Aha — przytakuje Irma, przyglądając się fotosom pod kinem, gdzie powstał wir tłumu. — Idziemy? Miłosny dramat z tą Cardinale!

— Na wojenny to bym poszła.

— Odkąd to lubisz? — Irma jest zaskoczona.

— Odkąd wojna zaczęła się dla mnie na nowo.

Zatrzymuje się przed gablotką z fotosami wojennego filmu: niemieccy żandarmi podnoszą karabiny, wywrócony motocykl, jakiś strzelający cywil...

Kiedy Irma staje obok niej, Anna zaskakuje ją pytaniem:

— Jakie są twoje najdawniejsze wspomnienia?

— Damsko-męskie?

Anna kręci przecząco głową. Chodzi jej o to, kiedy Irma zaczęła w ogóle coś pamiętać.

Przyjaciółka patrzy na nią pełna niepewności.

Wchodzą na klatkę schodową starej kamienicy, gdzie mieszka wróżka. Anna chciałaby wiedzieć, czy Ślepa Hanka tak samo widzi przeszłość jak przyszłość.

— Przeszłość? — Irma robi wielkie oczy. — Przecież to każdy zna!

Drzwi otwiera wysoki mężczyzną w średnim wieku; mimo upału ubrany jest w sweter. Lustruje je wzrokiem, wpuszcza do przedpokoju. Krzeselka, wieszak, czworo drzwi. Trzy z kryształowymi szybami, a w czwartych szybę zastąpiono grubą dyktą. Wszyscy obecni spoglądają właśnie w te drzwi: kobieta w średnim wieku, która udaje, że zaczytana jest w „Przekroju“, zawstydzona uczennica, stary człowiek o niesamowicie wydłużonej czaszce, obleczony w pergaminową skórą.

Irma siada na brzeжку krzesła. W lustrze przed nią odbija się tik łypiącej powieki starca. Irma zagryza usta, patrzy na

skupioną Annę, ale kiedy podnosi oczy, z lustra łypie do niej znowu powieka starego. Irma reaguje nagłym skurczem śmiechu, który nie daje się zdusić chusteczką. Lustro magnetycznie przyciąga jej oczy, Irma chwyta dłoń Anny, potrząsa nią, skrzypi krzesło, Irma zrywa się z miejsca i rzuca się ku drzwiom, pociągając za sobą przyjaciółkę.

Zbiegają po schodach jak dwie małe dziewczynki. Na dole Anna już też nie wytrzymuje — zaczyna się śmiać. Uspokoiwszy się, Irma bierze jej rękę w swoje dłonie, przybierając natchniony wyraz twarzy.

— Przeszłość to ja ci potrafię przepowiedzieć — zmienia sztucznie głos na głęboki. — Urodziłaś się 7 czerwca tysiąc dziewięćset czterdzie...

— Skąd wiesz? — Anna nie pozwala jej dokończyć. Wyrzywa rękę.

— Bo to raz byłam u ciebie na urodzinach?! — zdumiewa się Irma. Anna wybiega z klatki schodowej. Irma dogania ją na przystanku tramwajowym.

— Jaka ty zrobiłaś się dziwna! — mówi z pretensją i cała jej prosięca buzia marszczy się zabawnie. — Wszystkich porzucasz: wczoraj swoje „Mójtysie“, a dzisiaj mnie! Szajba ci odbiła, czy co?

Milknie, bo Anna obejmuje ją nagle i przyciska do siebie.

— — — — —

W pochmurne popołudnie Anna wysiada w Kolumnie z autobusu. Rano musiało padać, bo z sosen jeszcze kapie. Idzie wzdłuż zalesionych parceli, nie pytając o drogę.

Kiedy strzela za nią mocna, kuta brama, podrywają się ze ścieżki dzieci, zajęte dotychczas, zabawą: patrzą wyczekująco, czy to ktoś do nich. Jest dzień przyjęć, ale wielu kilkuletnich mieszkańców Domu Dziecka nie doczekało się nikogo. Dorosłe buzie małych dzieci. Anna zatrzymuje się, patrzy na ich zabawę, której nie zna: wyrysowane kółka, kwadraty, pasy...

Idzie korytarzami staromodnej willi, jakby znała drogę, naprzeciw wołaniu: „Jacek! Jacusiu!” Natyka się na wysoką, chudą kobietę w okularach, okrytą wełnianą chustą z frędzlami.

— Tak późno? — Pani Szulc lustruje ją niechętnym spojrzeniem. — Jak pani nazwisko?

— To nie ma znaczenia — odpowiada Anna.

— Do którego z dzieci?

— Do pani! Pani Szulc, prawda? Pani sobie mnie nie przypomina?

Pani Szulc nie ma teraz czasu na rozmowy: chłopak zniknął od rana, a tu wieczór! Wychodzą na podwórze Domu Dziecka. W drodze do położonych w głębi lasu klatek z królikami pani Szulc woła na wszystkie strony: „Jacek! Wróć!”

Anna patrzy na klatki. Za gęstą siatką królicze mordki. Ruszają się wąsy. Bije od nich ciepły zaduch.

— Tydzień temu dowiedziałam się, że zostałam stąd wzięta jako córka adoptowana Stefanii Karolakowej — mówi to do pleców kroczącej przed nią kobiety. Pani Szulc dopiero teraz przygląda się Annie.

— Nie masz dzieci, prawda?

— Proszę pani, ja chcę się dowiedzieć prawdy o sobie: jaka jest data urodzenia, moje imię.

Pani Szulc, przetrząsając krzaki za królikarnią, zerka na Annę.

— Jesteś starsza tu ode mnie. — Widząc zdziwione spojrzenie Anny, dodaje: — Jesteś z tych najdawniejszych, jeszcze wojenna. Jak przyszłam tu w marcu 1945, ty już byłaś. — Przyklada ręce do ust: „Jacuś, Jacek! Wyjdź. Już nikt nie przyjedzie!” Odczekuje chwilę, ale zielona ściana krzaków milczy. Wyjaśnia Annie sprawę chłopca, zniknął, chcąc ich tym ukarać.

— Jaacek! — Anna włącza swój głos w wołanie pani Szulc. Widzą dziurę w siatce, za którą tajemniczo pobłyskuje mokra ściana szklarni. Anna pierwsza przełazi za płot. Obie kobiety ostrożnie zaglądają do pustej szklarni, suną wzdłuż rzędów sadzonek w tym szklanym korytarzu — jak ryby w akwarium. Odruchowo ściszyły głos.

— Chcesz szukać? — pyta pani Szulc. — A wiesz, co możesz znaleźć? Kto to może być? Jeśli w ogóle będzie. Czy się do ciebie przyzna? Ja znam te sprawy ponad dwadzieścia lat...

— Chcę zrobić wszystko, co jest w mojej mocy, by wiedzieć, komu mnie brakuje...

Po tych słowach pani Szulc odgina gałązkę pomidorów. Przygląda się Annie, jakby ją zastanowiła zarówno forma jak i treść jej słów.

— Nie kochasz jej? — Patrzy na Annę poprzez sadzonki i Anna wie, o co jej chodzi.

— Matka jest dobra. Bardzo...

— Szukając kogoś innego, krzywdzisz ją — mówi wychowawczyni.

— Ona nic nie wie.

— Jeszcze... — mruczy pani Szulc. Nagle odwracają się obie: w drugim końcu korytarza zieleni coś zaszurało, jakby wystraszone z kryjówki zwierzątko rzuciło się do ucieczki. Pani Szulc prawie biegnie, gubiąc swoją chustę. Za rzędem zielonych pomidorów wygniecione w badylach legowisko. Ani śladu po uciekinierze. Na zewnątrz cisza.

Zadyszana, przysiada na schodkach. Przeciera okulary.

— Jego ojciec to ekonomista, matka zwariowana plastyczka, a ja, stara panna, odpowiadam za te dzieci. — Ogląda się naokoło, jakby bała się, że ktoś może ją podsłuchiwać. — Tu złapią się byle czego, żeby mnie wywalić. Niewygodna jestem, nie damę dzieci krzywdzić.

Zaczyna Annę traktować jak jedno z dzieci: bierze jej rękę w swoją i ciągnie za sobą.

Jej pokój na poddaszu Domu Dziecka jest jakby przedłużeniem wnętrza szklarni, po której krążyły przed chwilą: platanina asparagusów, pelargonii, kaktusów, drzewek szczęścia — oswojona dżungla staropanieńskiego pokoiku. Przez okno widać bawiące się na alejce dzieci. Anna odwraca się od okna:

— Jestem chyba już bardzo stara. Nie znam tych zabaw.

— Jesteś jeszcze bardzo młoda. — Pani Szulc grzebie w tekturowych pudełkach. — Chcesz szukać.

— I tak za stara, by wzruszyło kogoś to, że nagle zostałam sierotą.

— Rozwódka?

— Dopiero mężatka. — Anna próbuje się uśmiechnąć.

— Zdradza cię?

— Nie zna mnie: myśli, że ja to robię, bo wciąż mnie nie ma w domu. Włóczę się, szukam... Chcę wiedzieć coś na pewno. Kim jestem? Skąd się wzięłam? Pani chyba rozumie? — W jej głosie pojawia się jakby prośba.

— Tam, gdzie nas nie ma, jest szczęście, prawda? — Nie wiadomo, czy to twierdzenie, czy pytanie. Pani Szulc wyciąga z tekturowego pudełka wyblakłe zdjęcia. Na jednym z nich widać wianuszek dzieci od dwóch do siedmiu lat, skupionych pod wielkim drzewem, obwieszonym piernikami, bombkami, świeczkami. Palec wskazuje dziewczynkę drugą z lewej: to właśnie Anna. A ta najstarsza, z grzywką, która trzyma Anię za rękę — to teraz wielka gwiazda, Renata Sieniawska. Wtedy nazywała się Miecia Kapusto. Przerobiła sobie imię i nazwisko, życie jej wyszło jak w kartach!

— A moje imię? Czy jest prawdziwe?

Co pani Szulc może jej powiedzieć? Przywieziono dzieci wojskowymi samochodami od strony frontu. Niektóre